

## Mrozek Adam

### Po stronie szczura

Z „*Science Fiction*” nr 16 – lipiec 2002

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie ścierwo zdechłego szczura w podziemiach mojej dawnej firmy. Teraz co prawda najchętniej ozłociłbym tamtego zdechlaka, ale wtedy? Kląłem, na czym świat stoi. Z przyjemnością wbiłbym nóż w brzuch tego grubasa - mojego szefa. To była wyjątkowa kanalia. Alkoholik, degenerat jakich mało, ale nigdy nie mogłem go ruszyć, bo był kolegą prezesa jeszcze z czasów, kiedy ten malował swoje włosy na zielono, stawiał czuby i jeździł co lato do Jarocina. Ale ponieważ każdy przestaje być kiedyś nastolatkiem, a mój były prezes uczył się nieźle, więc szybko wyczuł koniunkturę, skończył studia ekonomiczne i stał się waśniakiem. Naciągnął też jakiś bank... Ale co tam... było, minęło, po co mam się nad nim znęcać. Niech mu ziemia lekka będzie. To znaczy... tylko tak się mówi, bo on i wszyscy inni nie mają grobów. Bo niby kto miał ich pochować? I co mieliby pochować?

Uciekłem trochę od tematu, trzeba wrócić do szczura. Leżał sobie bez ruchu, z rozwalonymi bebechami, tuż przy wejściu do windy. Gdy go zobaczyłem, poczułem na ramieniu dłoń mojego szefa - kierownika działu higieny. Wyrósł przede mną jak spod ziemi, zmierzył mnie przekrwionymi oczami, sapnął parę razy, chuchając mi w twarz oparami nie przetrawionego wina. A może to była siara, albo mój drogi przełożony zaczął gnić od wewnątrz? Zresztą, to nieistotne. Najważniejsze, że zastawił sidła na swoją ofiarę i dopadł ją - czyli mnie. Czy mógł w swoim alkoholowym otępieniu przypuszczać, że właśnie ratował mi życie? Pewnie nawet nie pomyślał o tym, że zalatywało mu z gęby.

- Widzisz, frajerze? Zgadnij, czy jeszcze pracujesz w firmie? - Jego pokancerowany palec wskazujący zawisł nad martwym szkodnikiem, a ja tylko wytrzeszczyłem oczy, otworzyłem pysk i szybko opuściłem głowę. Co miałem zrobić? Wiedziałem dobrze, że od paru miesięcy szukał na mnie haka, a gdy nic nie wskórał, pewnie sam podłożył tego szczura. Poczułem się jak ktoś, kto przegrał życie. Co mnie czekało? Szukanie pracy, zebranie o pomoc biurokratów z opieki społecznej i powolna, systematyczna degrengolada. Tak, sądziłem że zbliżał się mój koniec. Na odcinku korytarza, za którego czystość odpowiadałem, leżała kupka gnoju - martwe zwierzę - i kpiła sobie ze mnie. Nie zdzierzyłem. Przeszedłem na drugą stronę, odwróciłem się, zrobiłem krok do przodu i kopnąłem ścierwo. Udało się. Mierzonym rogałem uderzyło w gębę mojego prześladowcy. Zasłonił się, ale niewiele to dało. Zakrwawione futro i rozwalone mięso opały jego twarz. Zresztą, czy wyglądała gorzej niż przedtem?

Czym prędzej wybiegłem na zewnątrz. Nie gonił mnie. Klął tylko, ale niezbyt głośno, bo nadal zakrywał gębę rękoma.

Nigdy nie żałowałem tego postępu.

Nie odwiedziłem już sekretariatu firmy. Po diabła było mi świadectwo pracy? Ten gnojek napisałby na pewno takie bzdury, że nie przyjęto by mnie do pracy nawet w najbardziej śmierdzących kanałach. Oczywiście, gdybym wcześniej pokonał setkę kandydatów - konkurentów.

Co było potem? Jest o czym mówić! Od razu zabrano mi mieszkanie, zamknięto konto, ale Wspaniałomyślnie wręczono talony. Ucieszyłem się, nie czekała mnie przynajmniej śmierć głodowa. Pewnie to zasługa mojego byłego szefa, który nie wspominał w raporcie o tym, co zrobiłem mu na końcu. Kto by się nie wstydził takiego poniżenia? Tak, poczułem jakąś satysfakcję.

Ale to jeszcze nic. Po miesiącu dostałem jednak świadectwo pracy, o które ponoć wyklócił się dla mnie jakiś gość z sądu pracy. Cholera wie, kto mu kazał działać w moim imieniu. Może on sam, tak z siebie? Pewnie biedak pracował na akord i płacili mu od liczby prowadzonych spraw. Brak w świadectwie pracy paszkwilu pod moim adresem miło mnie zaskoczył.

Nasza melina była w porządku. Wiktor zajmował jej bardziej suchą część ze względu na książki. Wiadomo, nie lubią wilgoci, a ponieważ były one dla niego bądź co bądź cenniejsze ode mnie (ja też nie lubię wilgoci), nie mogłem na to nic poradzić. Wiktor to był równy gość, ale książki kochał ponad wszystko. W sumie nie miałem nic do nich. Nie powiedziałem tego nigdy Wiktorowi, ale traktowałem je jako rezerwową opał na czarną godzinę, gdyby nawaliły rury z ciepłowni, usadowione właśnie za ścianą z

książkami. Jest chyba jasne, że opał powinien być suchy, więc Wiktor miał rację - książki należało odpowiednio magazynować.

Parę miesięcy trwało to sielskie życie w ubóstwie, aż w końcu stało się to, czego się nigdy nie spodziewałem - zdobyłem pracę. Najpierw powiedział mi o tym Wiktor, potem przeczytałem ogłoszenie. Nie wiem, jak to było możliwe, ale Biuro Ochrony Państwa poszukiwało szczurołapów.

Kiedy po odpowiednim przygotowaniu się (mam tu na myśli porządną kąpiel i wizytę u fryzjera - trochę grosza wyłożył Wiktor, parę bonów sprzedałem cinkciarzom) dotarłem do Biura, nie wierzyłem w sukces. Byłem nawet na siebie zły, że niepotrzebnie poczyniłem takie inwestycje.

Zadano mi tylko kilka prostych pytań i po chwili podpisałem umowę o pracę. Znowm mogłem żyć w normalnym mieszkaniu, zacząłem otrzymywać wypłatę, założyłem konto i splukałem w kiblu jakieś resztki talonów. Ohydne zapki Towarzystwa Dobrobytu Europejskiego przestały już pałować mój żołądek.

Tak, bardzo łatwo się domyślić, co jeszcze zrobiłem. W końcu Wiktor też mi pomógł, był ojcem mojego sukcesu. Przecież gdyby nie on, nie miałbym tej pracy. Ucieszył się szczerze, a po paru dniach nazwał mnie swoim przyjacielem. Wcześniej odnosił się do mnie pozytywnie, ale jednak z pewnym dystansem. Pewnie dlatego, że nie podzielałem jego miłości do książek. Owszem, czasami przeczytałem to i owo, ale bez przesady... Zdecydowanie wolałem gazety. Też mi powód niechęci. Tyle się w końcu mówiło o tolerancji. Wszyscy nie mogą się interesować tym samym. Wszyscy nie mogą być tacy sami. Każdy powinien być sobą. Ciekawe, co powiedziałby Wiktor, gdybym robił mu wyrzuty, że nie lubi zabijać szczurów? Bezsens! Wiktor nie wiedział o tym, ale ja też miałem na swoim koncie jakieś tam sukcesy naukowe. Kiedy pracowałem w oddziale Centrum Edukacji Nowatorskiej, ukończyłem obowiązkowy kurs asertywności stosowanej, przeznaczony dla niższego personelu. A później sam się zapisałem na wieczorowy turnus tolerancji. W sumie szkoda, że nie zdążyłem się pochwalić tymi osiągnięciami.

Kiedy zamieszkaliśmy u mnie, stało się coś dziwnego. Zacząłem częściej przeglądać książki. Może tak z ciekawości, co też Wiktor w nich widział? A może dlatego, że i tak na opał się już nie przydadzą? Skoro miały tak trwać w moim mieszkaniu, to przynajmniej chciałem wiedzieć, z kim mam przyjemność. Zauważyłem, że Wiktor jeszcze lepiej się do mnie zaczął odnosić, gdy ujrzał mnie nad książką. Stałem się już nie tylko jego przyjacielem, ale - jak to się wyraził - bratnią duszą.

Co się wydarzyło tamtego dnia, wszyscy wiedzą. To znaczy ci nieliczni, którzy przeżyli. Pamiętam, jak to się stało. Wszedłem do pracy rano. Wiktor jak zwykle jeszcze spał, pewnie położył się w swoim pokoju dopiero nad ranem. W pracy było normalnie. Wszyscy leniwie przyjęli zlecenia i ruszyli w drogę. Kiedy przeczytałem swój przydział, odczułem dreszczyk emocji. Nigdy nie byłem w schronie przeciwiatomowym. To supertajne miejsce. Najważniejszy schron w stolicy, zbudowany specjalnie dla prezydenta i rządu.

Zgodnie z instrukcją wszedłem do środka z całą swoją aparaturą i przystąpiłem do dzieła. Szczury, - które zabiłem, były nieliczne i pozbawione tradycyjnej hierarchii. Mogłem sobie pozwolić nawet na słuchanie głośnej muzyki przez słuchawki walkmana. Jak to możliwe, że gryzonie dostały się do hermetycznie zamkniętego, odseparowanego od świata schronu? Odpowiedź była banalnie prosta: przywędrowały tutaj z zapasami żywności. Pewnie jakiś kacyk wziął łapówkę (żeby tylko jeden!) i przetarg na dostawę artykułów spożywczych do schronu wygrał nieuczciwy producent, dystrybutor, albo cholera wie jaki niechluj. Być może w grę wchodziło powinowactwo rodzinne czy inna wspólnota interesów, na przykład partyjna. I tak to jest już bez znaczenia. Nikt nie przeprowadzi w tej sprawie śledztwa. Ja wiem tylko, że ten koleś od żywności uratował mi życie. A przedtem zrobił to tamten palant, który oberwał ode mnie zdechłym szczurem. Potem uczynił to również Wiktor, ponieważ namówił mnie do załatwienia sobie pracy. I tak powstał ciąg ludzi i zdarzeń, który pozwolił mi uwierzyć, że zostałem wybrany. Jedyny, niepowtarzalny: człowiek-szczurołap.

Wiktor na pewno nie zdążył się obudzić przed śmiercią, pozostałe miliony też nie miały żadnych szans. Ci, co przeżyli, w większości czekali w okrutnych męczarniach na śmierć najwyżej parę tygodni.

Kiedy wszedłem do schronu, nawet przez myśl nie mogło mi przejść, że widziałem po raz ostatni stary świat. Obszerne pomieszczenie posiadało automatyczne blokady. Można było je otworzyć z obu stron tylko w przypadku całkowitego bezpieczeństwa. Przypadkowe rozhermetyzowanie naraziłoby na napromieniowanie tych, którzy zdążyliby się już ukryć, czyli, jak zakładano: prezydenta, premiera i ministrów. Dziwne, że nikt nie wszedł ze mną do środka, na pewno było to wbrew procedurze, ale wszyscy wiemy, że na co dzień najczęściej stosowaną procedurą jest rutyna i przyzwyczajenie. A poza tym wewnątrz były szczury. Nie mogło to być zachętą dla pedantycznie wystrzyżonych i efektywnie umundurowanych żołnierzy z ekskluzywnego oddziału.

Gdy uporałem się z nieco zdezorientowanymi szkodnikami, miałem już dosyć hermetycznej puszkii schronu. Chciałem wyjść, ale drzwi się nie otworzyły. Zacząłem nerwowo nacierać na wszelkie przyciski,

lecz wszystko na nic. Spociałem się i zdenerwowałem. Nie mogłem jednak dać się zwariować. Może to głupie, ale postanowiłem zmorzyć drzemką ten dosyć dziwny problem. Gdy zasypiałem, sądziłem, że za parę chwil ktoś chwyci mnie za ramię, obudzi i wyprowadzi na zewnątrz.

Jakże się myliłem. Nie wiedziałem jeszcze, że byłem jak płód w łonie matki: bezpieczny, zamknięty, samotny. Gdybym wiedział, jak długo może trwać taka „ciąża”, kiedy wydostanę się do prawdziwego świata po drugiej stronie schronu... Gdybym to wiedział, nie wiem, co bym zrobił.

Po paru godzinach snu obudził mnie pulsujący wysoki ton jakiegoś urządzenia. Zlokalizowałem je natychmiast i gdy podszedłem do niego, zdębiałem. Był to licznik Geigera, wskazujący wysoki poziom promieniowania poza schronem. Wskazówka wychyliła się na koniec czerwonej części skali. Spostrzegłem też kilka kartek papieru, leżących na podajniku drukarki, która migotała jeszcze zieloną diodą. To już mnie całkowicie zważyło z nóg. Tekst zawierał informacje sprzed paru godzin o tym, że doszło do totalnej katastrofy. Przeczytałem, że jedna z bomb spadła na Warszawę, inne zmiotły z powierzchni globu kolejne aglomeracje świata i spowodowały spalenie lasów, wyparowanie słodkich wód. Informacja pochodziła pewnie z jakiegoś tajnego i świetnie zabezpieczonego serwera, który być może opłatał swoją siecią schrony możliwych tego świata. Niestety, nigdy potem nie byłem w stanie dotrzeć do źródła informacji, nawiązać jakiegoś kontaktu. Połączenie z innymi enklawami zostało przerwane. A może one istniały tylko w sferze moich pragnień?

Nie wiem, jak to możliwe, ale moje wycia i wrzaski nie trwały wtedy długo. Znowu położyłem się spać. A niby co lepszego miałem do roboty? Gdy mój świat umierał, ja bawiłem się ze szczurami i byłem zły, że nie działają przyciski. Po prostu... przespałem koniec świata.

Przespałem, ale przeżyłem.

- Szczurze! Wyłaż z nory! No, już!

- Zaraz idę, chwileczkę! - Nie mogłem sobie pozwolić na odrobinę zwłoki, bo znowu bym oberwał. Prześladowali mnie całą dobę. Miałem trzech debili na karku. Zajęli cały schron, dla mnie została tylko jedna ciasna wnęka. Boże, jak ja nie lubię tego cholernego Kreta! Przeklinam dzień, w którym mnie tu znaleźli jego ludzie, na równi z dniem końca świata.

- No, wygrzebałeś się wreszcie! Co tak długo? Wiesz, że zawsze masz być gotowy. Nie lubimy czekać.

- Przepraszam, zdrzemnąłem się. Już idę.

Ruszyliśmy w drogę. Za oknem gąsienicowego pojazdu mozolnie przesuwiał się krajobraz klęski: upiorne ruiny spalonych domów, skryte za tumanami kurzu popromiennego. Brunatne niebo stanowiło szczelny kordon dla życiodajnego słońca. Zresztą, komu było ono potrzebne? Tylko garstce tych, którzy przetrwali i śledzili zmiany na powierzchni. Może i było nieco lepiej, ale zniszczony świat ciągle trwał martwy, jakby obraził się na człowieka, który dokonał bezmyślnej amputacji. Różnorodność życia, bogactwo przyrody - zostały brutalnie usunięte, a przecież to nie tam rozwijała się gangrena naszych czasów. Jeżeli człowiek chciał zniszczyć tylko siebie, to dlaczego nie ciął ostrożniej? Przecież można było zostawić coś dla następnych. Szczury mogą mieć nam to za złe. Chociaż, z drugiej strony, po co mielibyśmy im wszystko ułatwiać? My też zaczynaliśmy od zera, do którego zresztą wróciliśmy. Mają miliony lat przed sobą, niech się trochę pomęczą. Nie ma nic za darmo. Dajemy im zresztą całkowitą swobodę. Może to nie byłoby w porządku, gdybyśmy zostawili im naszą cywilizację, ponieważ nie miałyby możliwości wyboru. Byłyby zmuszone kontynuować nasze dzieło, a przedtem jeszcze je zrozumieć. Gdyby nie potrafiły tego zrobić, musiałyby wszystko zniszczyć, zatem... koło się zamyka. Cóż, takie dziwne myśli wypełniały wtedy moją świadomość.

- Szczurze! Co tak się gapisz? Jeszcze cię to wzrusza?

- A panu nie żal świata? W sumie był piękny.

- Może był. Ty jesteś tylko Szczurem, nie rozumiesz nas. Co ty wiesz?

- A wy co? Zyskaliście władzę? Nad czym? Natychmiast poczułem uderzenie. Kombinezon dosyć skutecznie chronił przed promieniowaniem, ale nie przed ciosami troglodytów. Nie, nie byłem na nich o to zły. Musieli się na kimś wyżyć, pokazać potęgę swej władzy... Zanim ją stracą. To ich łabędzi śpiew. A pomyśleć, że na początku tak się ucieszyłem. Spędziłem w schronie trzy lata. Byłem bardziej samotny niż Robinson na swojej wyspie. I cóż z tego, że nie musiałem bać się o przetrwanie? Schron wyposażony był we własne zasilanie, które nigdy mnie nie zawiodło. Nie narzekałem na brak żywności, wody i tlenu. W końcu zgromadzono zapasy dla całego rządu. Mogłem więc żyć sobie jak pączek w maśle do końca życia. Z biegiem czasu odkryłem chyba wszystkie bogactwa schronu: działające zestawy audio-wideo i książki, których znaczną część zdążyłem już przeczytać.

Kiedy oni pojawili się po raz pierwszy, padłem na kolana, dziękowałem Bogu, a gdy szybko powstałem, rzuciłem się im w ramiona. Jeden z nich odepchnął mnie stanowczo, ale to jeszcze nie podważyło mojego entuzjazmu. Kiedy powiedziałem prawdę o sobie, zaczęli się szyderczo śmiać i nazwali mnie Szczurem. Nie wiem, co by ze mną zrobili, gdybym nie popełnił największego błędu w swoim życiu. Myślałem, że się ucieszą, że to będzie punkt dla mnie. Niestety, to był początek koszmaru. Cholera, po co im powiedziałem, że jestem szczurołapem? Natychmiast przedstawili mnie Kretowi i zostałem zaprzęgnięty do pracy. Od tamtej chwili po kilkanaście godzin dziennie walczyłem ze szczurami. Pogardzali mną jak psem, to znaczy, przepraszam, jak szczurem. Jednocześnie z uwagą przypatrywali się moim poczynaniom.

- Szczurze, nie obrażaj się! Jak nie chcesz oberwać, to licz się ze słowami!

Wcale go nie słuchałem! Idiota, myślał, że zwróciłem na niego uwagę. To dla mnie pionek, pies Kreta, a oni to grupka oddanych mu szajbusów. Ja nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego. Pewnie lubili, jak im się trochę sprzeciwiałem. Czuli się wtedy usprawiedliwieni, że mnie biją. Tylko na początku próbowałem walczyć, potem dałem sobie spokój. Doszedłem do wniosku, że denerwowało ich moje posłuszeństwo.

- Masz szczęście, Szczurze! Dzisiaj sam prezydent chce się z tobą spotkać.

- Prezydent? - Trochę mnie zbił z tropu. Czego może ode mnie chcieć Kret? Czy chodzi mu o szczury?

Ten nadęty osioł myśli, że uda się powstrzymać ich ekspansję. Powinienem od razu mu powiedzieć, że nic z tego. Wkrótce szczury zostaną panami świata, a on nie może nic zrobić.

Wsiadliśmy do helikoptera i po dwóch godzinach byliśmy na miejscu. Schron prezydenta był o wiele obszerniejszy i bardziej luksusowy od mojego. Nie mogłem się temu dziwić, gdyż miał obronić rząd niemiecki. Jak to się stało, że zamiast europejskich mężów stanu znaleźli w nim schronienie gangsterzy z Kretem-prezydentem na czele? Tego nie wiem, ale nie mógł to być taki przypadek, jak ocalenie szczurołapa z Warszawy.

Weszliśmy chyba jakimś bocznymi drzwiami. Za nimi ciągnął się długi, wąski korytarz. Biała farba na amen przyległa do ścian. Pewnie emulsja z dodatkiem świecących cząsteczek. Rozjaśniały panujący wewnątrz mrok na tyle, że niepotrzebne było światło elektryczne. Niemiecka oszczędność, niemiecki porządek, taką myślą to wtedy skwitowałem. Po chwili zeszedliśmy niżej. Blaszane kręcone schody dudniły od stąpania masywnych buciorów.

Gabinet Kreta znajdował się na trzecim poziomie i był umeblowany dosyć gustownie.

- Witaj, Szczurze! - Kret wyciągnął w moim kierunku tłustą spoconą dłoń, obdarował mnie soczystym uśmiechem i wskazał luksusowy puszysty fotel naprzeciwko biurka. Nigdy nie był wobec mnie taki miły, ale nie chciałem dać się nabrać. Wietrzyłem w tym jakiś podstęp lub, w najlepszym przypadku, kpinę z mojej parszywej szczurzej osoby. Usiadłem więc posłusznie i czekałem na rozwój wydarzeń.

- Panie prezydencie, to dla mnie zaszczyt. - Nie ufałem mu, ale jak kiedyś radził znany pisarz, wolałem zachować się przyzwoicie w sytuacji trudnej do jednoznacznej oceny. To było najbezpieczniejsze.

- Tak, Szczurze, który to raz się widzimy? Chyba trzeci! I nie wiem, czy ostatni. Przyznaję, nasze poprzednie spotkania nie były dla ciebie przyjemne, ale sam rozumiesz, ja jestem prezydentem, a ty Szczurem. Dzisiaj jednak... - przerwał na chwilę, uważnie się we mnie wpatrując - ...dzisiaj jednak chcę cię zapewnić o mojej sympatii do ciebie!

Oniemiałem. Nie mogłem wytrzymać przenikliwego spojrzenia, i niczym przestraszona panienka spuściłem szybko głowę. Jego głos zabrzmiał poważnie, kątem oka zauważyłem wąskie usta wsunięte między balony policzków. Nie uśmiechał się. Ciągle patrzył na mnie i sapał. Chyba czekał na reakcję.

- Panie prezydencie. Dziękuję, że docenia pan moją pracę. Walczę ze szczurami kilkanaście godzin dziennie. Nigdy nie skarżyłem się na złe traktowanie, ale...

- Słucham?

- Nie chcę, aby pan mnie źle zrozumiał, ale wydaje mi się, że to i tak nie ma sensu.

- Co nie ma sensu?

- Walka ze szczurami. Pan chce zawładnąć powierzchnią, ale to się panu nie uda. Teraz będą rządziły szczury, teraz ich kolej. My już skończyliśmy naszą cywilizację. - Nie wiem, skąd wziętem w sobie tyle odwagi, aby wygarnąć mu całą prawdę. Nosilem się z takim zamiarem od dawna, przyrzekałem sobie, że gdy go następnym razem spotkam... A może właśnie o to mu chodziło? Sprowokował mnie do wynurzeń i odkrył, że jestem nielojalny. Tym bardziej zdziwiła mnie jego reakcja. Znów się uśmiechnął, wyjął z pudełka cygaro i z wyreżyserowaną flegmą zapalił je. Mrużył oczy, gdy wypuszczał kłęby dymu.

- Właśnie to mnie niepokoi - powiedział z udawanym zakłopotaniem. - Przejmujesz się nie tym, czym trzeba. I dlatego dopiero teraz mogę ci to zaproponować. A więc słuchaj uważnie, Szczurze! Od dzisiaj będziesz mieszkał z nami. Dostaniesz ładny pokój. Na razie sobie odpoczniesz, a od jutra będziesz walczył w ruinach Berlina. Co ty na to?

- Panie prezydencie!...
- Cieszysz się? Nie będziesz tutaj samotny. Możesz się swobodnie poruszać po schronie.
- Dziękuję! Ja naprawdę... jestem wdzięczny. Ale dlaczego? Macie kłopoty ze szczurami?

- Przestań wreszcie! - krzyknął na mnie, aż podskoczyłem. - Bo odeślę cię z powrotem do twojego schronu w Warszawie i zgniesz tam! Powtarzam ci po raz ostatni, że szczury to nie twój problem.

- Ja z nimi walczę! - Nierozsądnie próbowałem zaoponować.

- Słuchaj, durniu! - Wstał i pochylił się nade mną. Również chciałem się podnieść, ale powstrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Jesteś najlepszym szczurołapem, jakiego znamy, i nawet gdyby was były setki, nie poradziłibyście sobie z nimi. Tym bardziej ty sam! Możesz zabijać sobie tyle szczurów, ile tylko chcesz, nie przeszkadza mi to. - A to dobre! Jemu to nie przeszkadza! Cały czas sądziłem, że myśli tylko o wytopieniu szczurów, że tylko one mogą mu pokrzyżować szyki... - Twoje zadanie jest inne. Masz pokonać Króla.

- Króla?

- Króla szczurów! To najmądrzejszy szczur, jakiego spotkałem. Godny rywal dla ciebie. Będziecie walczyli na śmierć i życie.

- Słucham? - Teraz nie mógł mnie powstrzymać przed powstaniem z miejsca. - Prezydencie! One się mnożą jak cholera, trzeba czym prędzej coś zrobić, a pan chce mnie nakłonić do udziału w śmiesznym pojedynku? To ma być sport? Walka w ringu? Będziecie obstawiać zakłady? Ja albo Król? To jest... niepoważne!

- Znów przejmujesz się nie tym, czym powinienes. Ciężko się z tobą rozmawia. No, cóż, nie jesteś inteligentny. Zresztą, nie próbuj myśleć, tylko wykonaj gorliwie moje polecenie. To ważne! To bardzo ważne!

Poczułem złość. Przyleciałem helikopterem z Warszawy tylko po to, aby stanąć do idiotycznej potyczki z jakimś super szczurem. Nasz świat umarł, a im takie głupoty w głowie. Oczywiście że król szczurów jest najważniejszy, ale bez przesady. Jeżeli zostawimy daną grupę w spokoju, szybko wyłoni się kolejny lider. Nie będą ronić łez nad grobem swego ukochanego przywódcy, jak to często czyniły chyba wszystkie narody świata. Nowy król wyciągnie wnioski z tragedii i grupa zostanie wzmocniona. I tak może być bez końca. Walka ze szczurami to wojna. Nie bezmyślne szarże, ofiary kamikadze, pojedyncze egzekucje, ale wojna w sensie strategicznym. Akcje zaczepne, dywersja, podstęp i wreszcie otwarty bój na froncie. Walka ze szczurami to krew, rany i śmierć.

Satysfakcja i zdobyte doświadczenie. Ale nie tylko. Dla zawodowego żołnierza, jakim ja jestem, to również niebezpieczeństwo rutyny, mechanicznego wyciągania tych samych wniosków z analogicznych przesłanek. A to oznacza koniec rozwoju, zastój. A przecież nie ma dwóch takich samych bitew i konfliktów w historii, nie ma dwóch identycznych armii. Jednocześnie wydaje się, że są miliony nie różniących się od siebie szczurów. I nigdy nie potrafiłem stwierdzić czy to jest ich zaleta, czy wada. Czy im na tym zależy, abyśmy postrzegali je w ten sposób? Mają zapewnioną anonimowość w starciu z nami i to im daje jakąś przewagę. Co ciekawe, nigdy nie odniosłem wrażenia, że szczury w taki sam sposób patrzą na nas. Kiedy byłem jeszcze początkującym szczurołapem, niektóre grupy wyraźnie mnie ignorowały, nie doceniały. Gdy tylko na polu walki pojawiał się mój ojciec, niemal natychmiast wyczuwały w nim groźniejszego wroga. Potrafiły błyskawicznie ocenić przeciwnika. I pewnie dlatego niekiedy atakują pierwsze. Nie wszyscy ludzie są dla nich godnymi rywalami.

- Chcę ci pokazać twojego przeciwnika. - Dał mi znak, abym podszedł do skrywających się za kotarą drzwi. Nie wiedziałem, co miał na myśli, ale bez wahania wykonałem polecenie. Kazał mi spojrzeć przez wizjer i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W sąsiednim pokoju na fotelu spoczywał monstrualnej wielkości szczur. Łysy ogon zwisał do samej podłogi. Pod jego końcem ugięto się czerwone włosy dywanu. Leżał skulony w taki sposób, że tułów wydawał się niemal okrągły. Patrzył w moim kierunku, i gdybym nie był szczurołapem, pewnie bym się nieźle przestraszył. Oczywiście, nie mógł mnie widzieć, co najwyżej potrafił wyczuć jakąś woń. Ale na szczęście dbający o higienę szczurołap nie posiada charakterystycznego zapachu.

- To on?

- Tak. Jutro zaczniecie pojedynki. Wszystkie chwytaki dozwolone. Twoje i jego.

- Dlaczego... on tam jest? Leży w fotelu?

- Jak to, dlaczego? - Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i pobłażliwością. - Traktujemy was tak samo. Nie mogłeś mieć fotela gorszego niż on.

- Fotela gorszego niż on? Ja? - Rozbroił mnie całkowicie swoją odpowiedzią. Mechanicznie powtórzyłem jej zakończenie.

- Co w tym dziwnego? Czy czułbyś się lepiej, gdyby był w klatce? Nie uważasz, że to byłyby fory dla ciebie?

- Nie to miałem na myśli. Sądziłem, że on jest u siebie, na powierzchni.

- Ty też nie jesteś u siebie. Zresztą, będziecie walczyć na neutralnym terenie.

- To znaczy, że on jest... nietutejszy? - Wytrzeszczyłem oczy ze zdziwienia. Chciało im się przywozić szczura Bóg wie skąd? Po co? Po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że Kret i jego świta to... wariaci! Szaleńcy, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, co się stało. Jak ich powstrzymać? Nagle przyszła mi do głowy jeszcze jedna głupia myśl, co w powodzi absurdu ostatnich minut nie wydawało się niczym niestosownym.

- Dlaczego nazwaliście mnie Szczurem?

- Bo on jest szczurem. A co? Może jego mieliśmy nazwać Człowiekiem? To byłoby gorsze rozwiązanie. - Tym razem spodziewałem się odpowiedzi tego typu. Jej nonsensowność wkomponowała się w atmosferę rozmowy.

- Czyli w ramach równych szans musimy mieć takie same imiona?

- Raczej określenia. W jego przypadku wyraz „szczur” jest w mniejszym stopniu nazwą własną niż w twoim. Nie udało się tutaj całkowicie wyrównać szans. - Nie do wiary! Poniżają mnie, nazywając Szczurem, i to ma być punkt dla mnie! - Wybrnęliśmy z tego jednak w inny sposób: ty jesteś szczurołapem, on Królem.

Brakowało mi tchu na jakąkolwiek reakcję. Prezydent uznał rozmowę za skończoną. Podał mi dłoń i odprowadził do drzwi. Już miałem wyjść, ale przeszył mnie dreszcz i musiałem zadać jeszcze jedno pytanie:

- Panie Prezydencie! Czy... mnie też pokażecie... jemu?

- Już to uczyniliśmy.

Spacerując wieczorem wąskimi korytarzami, bardziej myślałem o skretyniałym Krecie niż o mojej nowej sytuacji. Nie potrafiłem dojść do żadnego sensownego wniosku i przestałem żywić nadzieję, że gdzieś obok skryte jest rozwiązanie, a ja muszę tylko umiejętnie się na nie zacząć. Krótka odyseja wzmocniła tylko poczucie absurdu. Korytarze jak korytarze: wąskie, ciągnące się jelita zdechłego szczura. Bałem się zaczepić jakiegokolwiek przechodnia, wyczuwałem, że wszyscy wiedzą o mnie. Kim dla nich byłem? Zwycięzcą czy pokonanym? Ofiarą ich parszywej gry czy ostatnią deską ratunku? Przez moment uległem megalomanii. Doszedłem nawet do wniosku, że wytopienie szczurów to dla Kreta priorytet, ale nie chciał tego ujawnić, bo przyznałby się do słabości. Dobrze mi było z tą myślą, mogłem w trakcie spaceru chodzić z głową podniesioną do góry.

Po zaledwie paru minutach dotarłem do centralnego punktu. Było gwarnie i tłoczno, uszy poraził mi miarowy rytm techno, skutecznie tłumiący jednostajny bulgot swobodnych rozmów. Trafiłem do knajpy. Oczom nie wierzyłem, ale serwowali tu piwo i drinki. Na zakąski nie zwróciłem uwagi, gdyż przed wyjściem zjadłem to, co przynieśli mi do pokoju. Poprosiłem o piwo i usiadłem gdzieś z boku. Nie chciałem się rzucać w oczy, a zarazem pragnąłem przyjrzeć się temu zwariowanemu towarzystwu. Mówili po niemiecku, ale wydawało mi się, że słyszałem także polskie słowa. Niektórzy palili papierosy, moim zdaniem było to co najmniej nierozsądne - znajdowaliśmy się przecież pod ziemią.

- Hej! Szczurze! To ty? - Z zadumy wyrwał mnie melodyjny kobiecy głos. Musiałem się odwrócić, by ujrzeć jego właścicielkę, i muszę przyznać, że była całkiem, całkiem...

- Dobry wieczór! Skąd pani mnie zna?

- Och! Nie żartuj! Wszyscy was tutaj znają. W końcu czekaliśmy na was dosyć długo.

- Na nas? Kogo jeszcze ma pani na myśli?

- Jak to? Prezydent ci nie powiedział? - Zmierzyła mnie takim spojrzeniem, jakbym się dopiero co urwał z choinki.

- No, tak! Znać mnie i szczura. - Gdybym tego nie powiedział, pewnie nie spojrzwały już na mnie inaczej. Jak się wkrótce okazało, i tak nie mogłem uratować swojej sytuacji. Ale przynajmniej uśmiechnęła się chociaż na chwilę. Mogłaby się jeszcze przedstawić.

- Króla i Szczura! Dokładnie tak powinienes powiedzieć!

- Kto jest kim?... Żartowałem. Wiem, że Król to on, a Szczur to ja. - Natychmiast się poprawiłem, widząc, jak znowu jej twarz przybrała nieprzyjemny dla mnie wyraz. - Napije się pani?

- Proszę o drinka, piwo to napój dla plebsu. Czy każdy szczurołap pije piwo?
  - A nie widziała pani żadnego?
  - Nie, pan jest pierwszy i... chyba ostatni.
  - Dlaczego ostatni?
  - W dzisiejszych czasach to zupełnie archaiczny zawód.
  - Co?
  - Niech się pan nie denerwuje. - Powiedziała to z kokieteryą. I po raz pierwszy nie przez „ty”.
- Uradowałoby mnie to, gdybym łudził się, że było na serio. - Powąchaj mnie, czujesz?
- Za dużo dymu.
  - Taki wytrawny pogromca szczurów? - Tym razem poczęstowała mnie soczystą ironią. - To piżmo. Mój ulubiony zapach.
  - Co pani chce przez to powiedzieć? - Powoli traciłem cierpliwość.
  - Nie zabijałeś nigdy piżmaków?
  - Nigdy. To jest szczur szlachetny, jeżeli tak się można wyrazić.
  - Szczur szlachetny? A inne szczury nie są szlachetne? Czy to ich wina, że nie urodziły się piżmakami?
  - Pani bredzi! Pani jest z Towarzystwa Ochrony Zwierząt? W takim razie trochę więcej szacunku dla mnie! To też nie jest moja wina, że nie urodziłem się prezydentem! - Byłem pewny, że to skuteczna riposta, ale zamiast ujrzeć zamurowaną twarz, usłyszałem szyderczy rechot. Zagłuszył nawet złowrogie techno.
  - Ty chcesz się porównać do prezydenta?
  - Skoro szczury...
  - Czy ja szczury porównałam do prezydenta?
  - A może ja jestem podobny do szczura?
  - Ty jesteś Szczurem! - zaryczała głośno, dodatkowo akcentując środkowe słowo. Przez dłuższą chwilę celowała we mnie palcem niczym lufą pistoletu. - Poważnie, nie gniewaj się! Nie ma większej różnicy między szczurem a tobą.
  - To dlaczego mamy ze sobą walczyć?
  - Bo jakaś różnica jest.
  - Jaka?

Nie odpowiedziała. Wzięła szklanekę z drinkiem i bez pożegnania odeszła. Usiadła parę stolików dalej, od razu włączając się w rozmowę. Chyba nie mówili o mnie, skoro nawet nie zerknęła w moją stronę. Jej dwóch rozmówców również niczym się nie zdradziło. Dla niej rozmowa ze mną była epizodem bez znaczenia. Ot, splunięcie albo prośba o ogień w knajpie. Może też nie powinienem o tej rozmowie pamiętać. Były jednak dwie przyczyny, które kazały mi myśleć inaczej. Po pierwsze: ostatnio rzadko z kimkolwiek rozmawiałem, po drugie: wszystko, co tutaj usłyszałem, mogło być dla mnie ważne.

Nie wziąłem drugiego piwa. Chciałem stanąć wypoczęty do walki na śmierć i życie. Po kilkunastu minutach znalazłem się w swojej kwaterze. Tu było bezpieczniej: bez techno i podejrzanego towarzystwa. Niestety, to kwestia przyzwyczajenia, ale czułem się najbezpieczniej, gdy byłem sam.

Kiedy się obudziłem, postanowiłem jeszcze przez chwilę poleżeć w wygodnym łóżku i posłuchać kojącej ciszy. Nie wiedziałem, czy lokatorzy schronu zawsze zachowują się tak bezgłośnie, czy może moją kwaterę skutecznie odizolowano od zgiełku życia w podziemnym Berlinie. Wydawało mi się, że poprzedniego dnia wokół mnie było głośniejsze. Ale może to tylko subiektywne odczucie, spowodowane kakofonią techno i gwarem w knajpie. Poznałem ciszę jak najwierniejszą towarzyszkę życia, sadystkę bez skrupułów. Była ze mną w polskim schronie, wsłuchiwałem się godzinami w jej tętno, które zrazu wydało się delikatne, potem natarczywe, aż w końcu znienawidziłem je za totalność. Wbijało się w głowę jak młot pneumatyczny. Kiedy zsynchronizowało się z częstotliwością mojego pulsu, potrafiło rozerwać na strzępy jaźń, zamieniając ją w mozaikę porozrzucanych w mózgu obrazów i myśli. Daję słowo honoru, że cisza dla samotnego człowieka to wylęgarnia koszmarów i wrota do szaleństwa.

Ale po przebudzeniu w Berlinie było inaczej. Nie żyłem sam, nikt mnie nie dręczył, za drzwiami mojego pokoju płynęło normalne - jak na te warunki - życie. Wiedziałem, że mogę wyjść z pomieszczenia i pójść w którąkolwiek stronę. Wszędzie natknę się na jakichś przechodniów, być może ktoś się do mnie odezwie. Przecież poprzedniego dnia dowiedziałem się, że wszyscy mnie znają. W takiej sytuacji na nowo odkryłem piękno ciszy. Nie była już najokrutniejszym zwiastunem samotności, ale odskocznią od hałaśliwego towarzystwa tych, którzy żyli obok.

Tak mi się wtedy wydawało.

Zdażyłem się jeszcze uśmiechnąć na taką myśl, gdy pomieszczenie wypełnił orzeźwiający dźwięk dzwonka. Nie ulegało wątpliwości, że pełnił funkcję budzika, mającego czym prędzej postawić mnie na nogi. Szybko wskoczyłem pod prysznic z zimną wodą i dopiero po chwili pomyślałem o szczurze. Lekceważyłem go? Jednak zawładnęła mną rutyna? Chciałem wyrzucić z siebie te myśli, ale... nie potrafiłem. Nadal nie mogłem pogodzić się z tym, że ten szczur miał być moim równorzędnym rywalem. A przecież oni wyraźnie to sugerowali. Twierdzili, że starannie wybrali przeciwnika dla mnie. Mało tego - odwrotnie! Być może to ja zostałem wyselekcjonowany dla niego! Trudno, ale na takie nonsensy mój umysł potrafił zareagować tylko śmiechem, drwiną i zdziwieniem. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego zorganizowali całą tę maskaradę. Ja i jeden szczur. Dawniej walczyłem z całymi stadami, czymże może być dla mnie pojedynczy przeciwnik? Fakt, to wielka bestia, chyba takiej jeszcze nie widziałem, ale przecież to tylko szczur.

Młody przewodnik czekał na mnie cierpliwie za drzwiami kwatery, a potem zaprowadził do pomieszczenia, w którym jeszcze nie byłem. To chyba szatnia. Rząd blaszanych, ponumerowanych szafek, długa ława i w głębi łazienka, skąd dolatywał nieciekawy odór. Z drugiej strony znajdowała się tylko brudna goła ściana. Odpadały z niej pofałdowane płachty olejnej farby. Widać było niewyraźnie brązowy ślad linii, przebiegający wzdłuż ściany na wysokości mojej szyi. To pomieszczenie negatywnie kontrastowało z tym, co widziałem dotychczas. Pomyślałem, że specjalnie urządzili je w ten sposób, aby dać mi do zrozumienia, że jestem tylko Szczurem i staję do walki ze szczurem. Przewodnik nawet nie wszedł do środka. Podał mi klucz od schowka numer jeden i wskazał na drzwi, skrywające się w głębi za rzędem szafek. Wcześniej ich nie zauważyłem.

Otworzyłem drzwiczki i ujrzałem to, czego się spodziewałem. Moje wyposażenie do walki ze śmiertelnym wrogiem. Rozebrałem się do naga i włożyłem na siebie kombinezon, chroniący przed promieniowaniem. Dosyć miękki, wygodny, wyglądał trochę jak klasyczny strój roboczy z epoki komunizmu. Był czysty, być może nawet nieużywany. Rękawice przyssały się do rękawów kombinezonu, gwarantując niezbędną szczelność. Poruszyłem palcami, by sprawdzić giętkość materiału, i również co do tego nie mogłem mieć żadnych zastrzeżeń. Najgorzej wyglądało nakrycie głowy. To był po prostu hełm. W kształcie kuli. Mogli przygotować coś bardziej misternego. Tak czy inaczej pasował do niemieckiego charakteru: ciężki, siermiężny. Zanim go założyłem na głowę, zajrzałem w głąb szafki, gdzie, jak sądziłem, powinna znajdować się broń. Zdziwiłem się niezmiernie, dostrzegając tylko... nóż.

Przygotowany do pojedynku przeszedłem przez wskazane drzwi. Za nimi znajdowała się winda, która automatycznie ruszyła w górę. Po kilkunastu sekundach stałem już na powierzchni. Na czerwonej spalonej ziemi, przykrytej zwałami gruzu. To Berlin rozsypany w proch. Gdziekolwiek ocalałe budynki straszły czarnymi oczodołami pustych „okien”. Najgorzej wyglądało niebo. Nie, to nie było prawdziwe niebo. To czerwono-brązowa warstwa pyłów, oddzielająca skażoną Ziemię od czystego i pięknego kosmosu. Nie było widać Słońca, chmury na pewno już nie istniały.

Zagęszczona „atmosfera” nie pozwalała widzieć więcej, sięgać wzrokiem dalej. Może to i dobrze. Pył zawierał w sobie nie tylko śmiertcioną radioaktywność. Kombinezon izolował zapach, ale byłem przekonany, że gdybym zrzucił z siebie strój ochronny i wchłonął pył, poczułbym zapach śmierci. Może nawet dosięgnąłby mnie gorzki smak upadku cywilizacji. Jak pachnie, jak smakuje koniec? Skoro nie ma już świata, nie istnieje on w sensie materialnym, może pozostawił po sobie jakiś ślad właśnie w postaci smaku lub zapachu? Byłem przekonany, że kiedyś się tego dowiem. Kiedy będzie miała przyjść po mnie śmierć, spróbuję wykorzystać „okazję”. Zdejmę kombinezon i wciągnę w siebie śmiertciony pył. Zabije mnie, ale przedtem podaruje prawdziwą woń i smak umarłego świata.

Szedłem powoli, bez wyraźnego planu. Musiałem poznać okolicę. Zazwyczaj posuwałem się po okręgu, zataczając coraz większy obwód, ale i to nie było regułą. Zawsze doskonale orientowałem się w terenie i mogłem liczyć na własną intuicję. Jednak w tamtej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Mogłem tak sobie krążyć i krążyć bez żadnego rezultatu - jeden szczur w ruinach Berlina to mniej niż igła w stogu siana. Cóż, pomyślałem, pokręcę się po okolicy i wrócę do schronu. Może rozczaruję ekipę Kreta, ale to nie ja wymyśliłem cały ten cyrk.

Słyszałem własny miarowy oddech i skrzywienie podłoża, po którym stapałem. Zostawiałem ślady, które nie mogły przetrwać długo. Szybko zasypie je kurz i wygładzi wiatr. Pył atomowy jest jak padający śnieg - nie zdradzi skradającego się przestępcy. Jednak zanim ślady zostaną zamazane, ktoś może zrobić z nich użytek. Nie, wcale ta myśl mnie nie przeraziła, nawet uśmiechnąłem się, wyobrażając sobie podążającego po moich śladach Króla.



Dotarłem do ruin jakiegoś wielkiego podłużnego gmachu. Zachowała się prostokątna bryła z wszystkimi trzema kondygnacjami i częścią dachu. Wzmocnionym murem i solidnym fundamentom budynek zawdzięczał swoją niezłą prezencję. Bez namysłu wszedłem do środka, minąłem korytarz i znalazłem się w przestronnej sali. To musiała być jakaś hala sportowa, gdyż nade mną wisiły ułożone w kształt prostokąta trybuny. Gdzieś widać było resztki schodów, ale całość stanowiły zwały chropowatego betonu.



Kiedy tak się rozglądałem, zamarłem. W ciągu paru sekund puste trybuny wypełniły się niemal po brzegi. Horda „kibiców” wydała z siebie niewyobrażalny pisk, a wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie. Nie wiedziałem, w którą stronę patrzeć. Struchlałem i chyba mimo kombinezону było to po mnie widać. Przez

chwile drżałem jak zmarzluch na mrozie. Jednak szybko realnie oceniłem sytuację i gdy uświadomiłem sobie, że nie mam najmniejszych szans, napięcie znikło. Zerknąłem jeszcze na drzwi wejściowe, ale tam również znajdowały się szczury. I one także wpatrywały się łąpczywie w moją pokraczną sylwetkę. Poczulem smak porażki. Opuściłem głowę i odrzuciłem nóż, zupełnie jakbym poddawał się człowiekowi. Zresztą, może i tak było. Przegrałem z sobą. Z własną głupotą, bezmyślnością, pewnością siebie, nonszalancją. Niezła litania. Poczucie rezygnacji i przygnębienia obniżyły poziom adrenaliny i pozostał tylko doskwierający żal, że akurat w takiej sytuacji... Schowałem głowę w dłoniach, po czym rozplakałem się. Żałowałem, że nie mogę dotknąć oczu. A może teraz... zdjąć hełm i umrzeć godnie? Natychmiast pozbyłem się tego zamiaru, wiedząc, że zamiast zapachu umarłego świata poczułbym tylko odór szczurów - zwycięzców.

Gdy po jakimś czasie ponownie spojrzałem w górę, znów ukazał mi się widok pustych trybun. Bajka! A więc cuda istnieją! Pewnie, płacząc, nawet nie usłyszałem, jak szczury wyniosły się stamtąd. A może tylko wydawało mi się, że one tam były? Ot, taka halucynacja, fatamorgana z dala od Sahary? W końcu teraz cały świat jest pustynią. Nie, to było niemożliwe, jeszcze nigdy moje zmysły mnie nie zawiodły. Zresztą, w takim przekonaniu utwierdził mnie on - jedyny szczur, który nie opuścił widowni. To oczywiście Król. Siedział bez ruchu na najwyższym piętze trybun i wpatrywał się we mnie w skupieniu. Ja także nie potrafiłem odwrócić od niego wzroku, więc trwaliśmy tak naprzeciwko siebie, jak uczestnicy pojedynku przed zadaniem decydującego ciosu. Gość było jednak nie tak. Czułem to w sobie i byłem pewien, że on także znał to moje odczucie. Kopnąłem leżący nóż na kilka metrów i rozłożyłem ręce. Byłem mu to winien. Co więcej mogłem zrobić?

Poczulem się jak schwytyany ptak, wypuszczony w końcu na wolność. Przegrałem i musiałem podziękować za okazaną litość. Po co to zrobił? Może nie wolno mu było wykorzystać w walce podwładnych? Jeżeli Kret mówił poważnie, a nie mogłem w to wątpić, mieliśmy walczyć tylko we dwójkę. Być może Król również otrzymał instrukcje. Przecież obserwowałem go przez wizjer w drzwiach. Siedział w fotelu, został przyjęty przez Kreta nie mniej serdecznie niż ja.

Nagle nawiedziła mnie dziwna myśl. Król nadal się nie ruszał, jakby chciał przedłużyć w nieskończoność nasze spotkanie, a ja spojrzałem na niego zupełnie inaczej. Nie jak na szczura, których w życiu widywałem tysiące, ale jak na partnera w grze, która została nam narzucona. Być może było to spojrzenie wrażliwego gladiatora, buntującego się wewnętrznie przed koniecznością zadania lub otrzymania śmiertelnego ciosu. Ani na ułamek sekundy nie spuściłem z niego wzroku, ale podniosłem nóż, schowałem go do głębokiej kieszeni i powoli wszedłem na trybuny. Król nadal się nie ruszał. Patrzył na mnie bez przerwy, a ja podchodziłem coraz bliżej, aż w końcu dokładnie mogłem przyjrzeć się jego oczom. Potrafiłem zrozumieć jego wzrok. Szczur patrzył na mnie oczami istoty przegranej. Wzrokiem kogoś, kto przyznaje się, że jest gorszy i oświadcza, że całkowicie akceptuje taki stan rzeczy. Zdziwiłem się bardzo. Jak to się miało do manifestacji siły sprzed chwili? A może pozostali myśleli podobnie, ale nie potrafiłem tego zauważyć? Jeżeli śmierć zagląda człowiekowi w oczy, to trudno o obiektywną analizę sytuacji. Straszny kwik, a potem głucha cisza i setki par oczu przenikających mnie na wylot. Czy mogłem wtedy rozsądnie myśleć? Podeszedłem jeszcze bliżej, aż w końcu Król znalazł się na wyciągnięcie ręki. Nadal się nie ruszał. Może nieznacznie przesunął ogon i minimalnie unióśł głowę, ale i tego nie byłem pewien, gdyż starałem się patrzeć tylko w jego oczy.

- O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego mnie nie zabiłeś? - Postanowiłem się przyznać do porażki. Nie potrafiłem postąpić inaczej. Król był moralnym zwycięzcą pojedynku.

Odpowiedział... jeszcze większą wyrazistością oczu. Serce zaczęło mi bić szybciej, gdy dostrzegłem w nich coś więcej oprócz obrazu kłęski. To był strach i rezygnacja. Bał się czegoś nieuchronnego, z czym nie da się walczyć ani temu zapobiec. Jego oczy zdawały się mówić, że obaj zostaliśmy skazani na porażkę, na zagładę, ale on nie ma żadnych szans, natomiast ja... Mnie może się udać. Chyba kierując się podświadomością, chwyciłem go za głowę, aby jego oczy niemal zetknęły się z moim hełmem. Przeraziło mnie to, co dopiero po chwili wyraźnie w nich zobaczyłem. Nerwowo odrzuciłem go na bok. On jednak odwrócił się flegmatycznie i podeszedł do mnie. Stał na tylnych łapach i... sięgnął przednią kończyną do mojej kieszeni. Kazał mi wyciągnąć nóż. Po chwili trzymałem rękojeść, a matowe ostrze skierowane było w jego tułów. To się stało jakby wbrew mojej woli, nawet sam nie wiedziałem, w jaki sposób nóż znalazł się w dygocącej prawej dłoni.

Król spojrzał na nóż i na mnie, co mogło oznaczać tylko jedno. Chciał, abym go zabił. Samobójstwo? Poświęcenie? Eutanazja? Czy w kontekście szczura można w ogóle o czymś takim mówić? To tylko mniej lub bardziej świadome zwierzę. Czy nawiązałem z nim kontakt telepatyczny? Czy w ogóle poprawnie odczytałem z oczu jego myśli i wolę? Czy on mógł posiadać myśli i wolę?

Nie patrzył już na mnie. Czekał na śmiertelny cios. Może bał się spojrzeć, bo mógłbym odczytać w jego oczach prośbę o litość? A może o niczym nie wiedział, a moje roztrząsania to tylko objaw rozsypującej się psychiki? To mnie nieco uspokoiło. Na tyle, że w okamgnieniu wbiłem nóż prosto w szurcze serce. Wszedł gładko, nie napotykać na znaczący opór. Zatrzymał się dopiero na tępej rękojeści. Krew wypłynęła najpierw wąskim strumykiem, i dopiero gdy wyciągnąłem ostrze, z wnętrza chlusnęła czerwona fontanna. Nie byłem w stanie uniknąć zamoczenia i chyba po raz pierwszy ucieszyłem się, że musiałem założyć na siebie kombinezon. Chronił bowiem nie tylko przed promieniowaniem, ale także nie pozwalał wszelkiej obcej wilgoci dotrzeć do ciała.

Zastanawiałem się, czy odciąć szczerowi łeb jako dowód mego niepodważalnego zwycięstwa, ale nie musiałem tego czynić. Po paru sekundach ze środka sali rozległy się energiczne oklaski i okrzyki włończących się za mną paru berlińczyków. Odprowadzili mnie z powrotem do samego schronu, ciągnąc za sobą włochate ciało mojego wroga. Gdy dotarliśmy na miejsce, prawie całkowicie się wykrwawił, zostawiając na powierzchni już tylko niewyraźną bladoczerwoną smugę, jakby chciał na przekór śmierci zaznaczyć swój teren.

Powitanie w schronie przerosło moje oczekiwania. Owszem, liczyłem na odrobinę szacunku, może poklepanie po ramieniu, w najlepszym przypadku na łyk szampana. Jednak to, co spotkało mnie po powrocie z ruin, mogłoby zadziwić nawet gwiazdora muzyki pop, przywykłego do pełnych uwielbienia okrzyków rozhisteryzowanych panienek. Gdy najpierw zostawiono mnie samego w cuchnącej szatni, pod prysznicem z przyjemnością splukałem z siebie pot i resztki niemiłych wspomnień z dopiero co zakończonej „walki”. A, co tam, w końcu to ja żyję, a tamtego trafił szlag. To nie moja wina, że on w taki sposób... Chyba wiedział, że i tak był bez szans. Po co miał przedłużać tę parodię walki. Łatwo przychodziło kadzenie samemu sobie. Czy może istnieje łatwiejszy sposób na wprowadzenie się w dobry nastrój?

Łatwiejszy nie, ale skuteczniejszy na pewno: delektowanie się kadzeniem innych.

Gdy szedłem pustym korytarzem, wokół dławiła się cisza. Zdawało mi się, że może w uszach zostało trochę wody z kąpieli i sądziłem, że parę podskoków załatwi sprawę, ale nic z tego, nadal cisza krępowała moje zmysły. Zaniepokoiłem się. Przypomniałem sobie mimo woli o tych parszywych latach w Warszawie i nagle lęk przeszył mnie od stóp do głowy. Przez kilka minut nie spotkałem żywej duszy. Z paniką w oczach rozglądałem się wokół, chcąc ujrzyć kogokolwiek, kto swoją obecnością wypełniłby czającą się na mnie pustkę. Nic takiego nie nastąpiło i... poddałem się. Nie stawiałem już oporu narastającemu szaleństwu. Znowu zacząłem drżeć, zakryłem dłońmi twarz i próbowałem krzyknąć. Bez skutku. Nie potrafiłem zagłuszyć bezgłośniego napadu furii. Wystrzeliłem niczym sprinter i przebiegłem tak kilkadziesiąt metrów. Po drodze nie minąłem nikogo. Biegłem sam wśród głuchego, bezdusznego betonu, który zachowywał się na tyle taktownie, że nie zwracał uwagi na moje szaleństwo. Wcale nie byłem mu za to wdzięczny. Znowu zalał mnie pot - sam nie wiem czy był on oznaką wysiłku, czy szału. Dyszałem nierówno, dopadłem automatycznych drzwi, które... nie otworzyły się. Pech, a może totalny, ostateczny atak wszystkich rzeczy martwych na poszatkowanego przez nerwy szczerolapa? Zacząłem z nienawiścią kopać drzwi i po chwili... leniwie otworzyły się jak gdyby nigdy nic... Chciałem biec dalej, ale szybko stanąłem jak wryty. Oślepiły mnie światła, rażące bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy wcześniej pod ziemią nie widziałem takiego blasku. Rozejrzałem się i dopiero po chwili zauważyłem ich. Stu, a może dwustu? Chyba wszyscy „lokatorzy” podziemnego Berlina stłoczyli się w tej małej przestrzeni. Wlepili we mnie łakome spojrzenia, tak jak szczury w hali sportowej. Cisza trwała moment i została zagłuszona kaskadą oklasków. Nie mogłem mieć wątpliwości, że były przeznaczone dla mnie. Powoli przestawałem sapać, tętno wracało do normy, usta mimo woli uformowały się w uśmiech. Poczuję satysfakcję. Podniosłem rękę do góry, skinąłem głową we wszystkich kierunkach - zachowałem się tak, jak niegdyś czynili piłkarze na murawie boiska. Przed meczem pozdrawiali wszystkich kibiców, po ostatnim gwizdku sędziego zazwyczaj podbiegali pod sektory swoich najwierniejszych fanów. Miałem prawo przypuszczać, że mecz się skończył, a wszyscy zgromadzeni to moi kibice. Czy mógł być jeszcze ktoś po stronie szczerura? - Witaj, Królu! - Z tłumy wyłoniła się kobieta, z którą rozmawiałem poprzedniego dnia w barze. Nie podeszła jednak do mnie, stanęła tylko przed innymi, dyskretnie dając mi znak, abym zrobił parę kroków w lewo. Spojrzałem w tamtym kierunku i wreszcie go zauważyłem. Blask światła i wiwatujący tłum tak mnie oślepiły, że wcześniej nie dostrzegłem skrywanego się w głębi pomieszczenia na niewysokim podwyższeniu Kreta. Miał głupkowaty wyraz twarzy - gdy podszedłem bliżej, rozbroił mnie szerokim uśmiechem i kiwającą się, niby w rytmie podziwu, głową. Czułem, że to tylko poza, może nawet najzwyczajniejsza kpina. Byłem jednak bezbronny, musiałem brać udział w tym cyrku. Nie mogłem dać po sobie poznać, że nie uwierzyłem w całą

tę maskaradę. Choć z drugiej strony... do diabła! Tutaj zawsze istniała jakaś druga strona! Od momentu pojawienia się w moim życiu ludzi Kreta nic nie jest normalne, jednoznaczne, oczywiste. Byłem prześladowany, wyszydzany, ale i nagradzany, oklaskiwany. Nazwano mnie Szczurem, lecz przed chwilą wiwatowano na moją cześć. Miałem pokonać najgroźniejszego szczura, a on... sam nadział się na mój nóż, mimo że wcześniej rozłożył mnie na łopatki. Czy wszyscy powariowali? Otaczający mnie świat wpisywał się w poetykę nonsensownego snu. Jak jednak obudzić się z koszmaru, który trwa parę lat?

- Przyjmij moje gratulacje! Pokonałeś godnego siebie rywala i ogłaszam cię zwycięzcą pojedynku, oczywiście ze wszystkimi tego konsekwencjami. Wreszcie dobrnęliśmy do końca.

Znów furia oklasków. Zgromadzeni przeskakiwali wzrokiem ze swojego Prezydenta na mnie i potem znów na niego. Chyba nikt nie spoglądał w inną stronę. Kret położył mi dłoń na ramieniu i szepnął do ucha, abym nazajutrz rano przyszedł do niego. Potem zniknął gdzieś z tyłu, co było znakiem, że ta krótka uroczystość dobiegła końca. Oklaski ucichły, pomieszczenie wypełnił gwar swobodnych rozmów. Zaczęto opuszczać salę. Kilka osób osobiście pogratulowało mi sukcesu, ale nikt nie uznał za stosowne dłużej porozmawiać ze mną, choć tego potrzebowałem. Kiedy czworo automatycznych drzwi połąknęło wychodzących, znowu zostałem sam.

Byłem wolny, moja misja dobiegła końca, ale nadal tak naprawdę nie wiedziałem, czym była i co dzięki niej osiągnąłem.

Ponieważ daleko było jeszcze do pory snu, postanowiłem powłóczyć się trochę po korytarzach schronu. Nie mogłem doczekać się następnego dnia i spotkania z Kretem. Byłem pewien, że wtedy wszystko się wyjaśni. Ale zostało jeszcze parę godzin „dnia” i cała okropna noc.

Zmierzałem w kierunku znajomej mi knajpki. Postanowiłem umilić sobie wieczór paroma głębszymi. W końcu byłem zwycięzcą. Lokal powitał mnie żącym zapachem tytoniu, bulgoczącym gwarem i oczywiście głuchym stukotem techno. Normalka. Chciałem usiąść w tym samym miejscu co poprzednio, ale było zajęte. Podszedłem do baru i zamówiłem podwójnego drinka. Wypiłem błyskawicznie, nawet nie byłem w stanie rozpoznać alkoholu, który wgrzył się w mój przewód pokarmowy. Powtórzyłem zamówienie i po raz drugi tak łatwo już nie poszło. Tym razem na dnie szklanki zostało trochę pomarańczowego płynu. Patrzyłem na niego łapczywie. Chciałem, aby pomógł mi zabić czas. Znów pomyślałem o schronie w Warszawie. Tam również nie brakowało alkoholu, ale szybko dałem sobie z nim spokój. Gdy go odkryłem, piłem bez przerwy, potem jednak dręczyły mnie paskudne koszmary, a na dłuższą metę kac w podziemiach mógł doprowadzić tylko do myśli samobójczych.

- Przepraszam pana, można na chwilę? - basowy głos wyrwał mnie z zadumy. - Zdaje się, że zajęliśmy pana miejsce. Przepraszamy bardzo..... A może... przyłączy się pan do nas? To dla nas zaszczyt. Jeżeli oczywiście pan nie ma nic przeciwko... Co pan pije? Nie, to świństwo. Ej! Jak ty mogłaś naszemu Królowi nalać coś takiego? - Nie miałem pojęcia, czy oburzenie podchmielonego typka było naturalne. Barmanka uśmiechnęła się tylko przepraszająco i podała mi nowego drinka. Kiedy szedłem do stolika, czułem już lekki szum w głowie, było mi jakby lżej...

- Szczerze mówiąc, pan nie był naszym faworytem. Większość liczyła na szczura. No, ale ładnie się pan postarał!

- Ładnie postarał? Bzdura! To była parodia walki. -Może gdyby nie alkohol, nie powiedziałbym tego grupce nieznajomych. Siedzieli w czwórkę. Ot, zwykli szarzy ludzie jak ja. Dwóch popijało piwko, dwóch drinki. Po moich słowach uśmiechnęli się i znacząco pokręcili głowami.

- Oj, skromny nasz Król, skromny.

O czym tu rozmawiać? Przechyliłem szklankę i tym razem udało mi się wypić do końca, do czego zmobilizowała mnie chęć opuszczenia tego towarzystwa. Wstałem, podniosłem rękę na znak pożegnania i wyszedłem z lokalu. Nawet się nie odwróciłem. Nie chciałem wiedzieć, czy ktoś przygląda się mojemu wyjściu.

Alkohol zrobił swoje. Nie szedłem zbyt prosto, chociaż amplituda mojej paraboli nie była wcale wysoka. Czułem się w sam raz. Taki stan pozwoli mi w pełni świadomie wrócić do kwatery, zrelaksować się i zasnąć. Nazajutrz nawet nie odczuję kaca, pójdę do Kreta i zadam mu parę pytań... Wśród takich optymistycznych planów nagle poczułem niepokój. Kiedy tak szedłem, minąłem faceta, który kogoś mi przypominał. Zrobiłem jeszcze parę kroków i... eureka! Oświeciło mnie! Znałem tego człowieka, oczywiście nie osobiście, ale jednak... To był przecież poseł Sikora, jeden z aktywniejszych działaczy Partii Praworządności Europejskiej. Swego czasu był nawet ministrem... nie pamiętałem już jakiego resortu. Natychmiast się odwróciłem i przyspieszyłem kroku. Nie mogłem go zgubić, bo podążaliśmy akurat prostym fragmentem korytarza. Dopadłem go szybko i szarpnąłem ostro za ramię. Nie chciałem, aby mi umknął, choć wiedziałem, że mógł sobie nie życzyć rozmawiać z podchmielonym nieznajomym.

Nieznajomym? Jak to nieznajomym? Ja byłem Królem, zwycięzcą pojedynku. Wszyscy mnie znali, poseł Sikora również. To mnie ostatecznie ośmieliło.

- Poseł Sikora? Co pan robi w Berlinie? Nasze państwo istnieje? A może uciekliście? Śmigły Rydz za granicę hyc! - Nie kontrolowałem chłupotu własnych słów. Sam nie zauważyłem, kiedy moja dłoń przybrała kształt gotowej do zadania ciosu pięści. Musiałem na niego groźnie spojrzeć, bo mimo otepiałego zmysłu działania alkoholu, potrafiłem w jego oczach dostrzec autentyczny... strach. To mnie podnieciło. - To ja, obywatel Polski, zdychałem latami w schronie, a wy sobie tu urządziliście raj? - Przycisnąłem go do ściany i o dziwo, nie stawiał żadnego oporu. Zasłonił tylko twarz rękoma i czekał, co zrobię. Poziom adrenaliny podniósł się jeszcze bardziej, gdy przypomniałem sobie o nożu. Spoczywał w kieszeni marynarki. Po zakończonej walce nikt mnie nie sprawdzał, toteż zabrałem go ze sobą, bo chciałem mieć pamiątkę, a może... wolałem czuć się bezpieczniej?

I wtedy stało się coś dziwnego. Gdy tylko przyłożyłem mu do brzucha ostrze noża, poseł Sikora... zniknął. Na początku wydawało mi się, że uciekł, wyrwał się, schował za jakąś ścianą, ale to było niemożliwe. Zwyczajnie zniknął. Odcinek korytarza nie krył w sobie żadnej wnęki, nie było drzwi. Oczywiście nie mogłem w pełni ufać swoim zmysłom, ale przecież widziałem, że zniknął. To znaczy nie widziałem... Zresztą, sam nie wiem. Och! Chaos rozsadał mi głowę.. Rozglądałem się jeszcze przez chwilę, przebiegłem kilkanaście metrów w jedną i drugą stronę, w końcu zupełnie zdezorientowany schowałem nóż i wróciłem do swojej kabiny.

Miałem głęboki, spokojny sen. Gdy się obudziłem, sądziłem, że może to jeszcze środek nocy, toteż zdziwił mnie zegarek, wskazujący prawie dziesiątą. Wskoczyłem z łóżka jak z procy, w pośpiechu założyłem jakieś ciuchy i po chwili stałem już na zewnątrz swojej kabiny. Skręciłem w stronę gabinetu Kreta, ale czułem się jakoś dziwnie. Coś nie dawało mi spokoju. Przed drzwiami nie było ochrony, zapukałem więc nerwowo, ale odpowiedziało mi tylko głucho echo. Nacisnąłem klamkę, a gdy drzwi skrzypnęły, ucieszyło mnie, że nie są automatyczne. Nie chciałem ponownie przeżyć tego co wczoraj - stresu związanego ze złośliwością rzeczy martwych. Pewnie moja awersja do nich wzięła się jeszcze z czasów warszawskiego schronu. . Otwierając powoli drzwi, spodziewałem się, że usłyszę głos Kreta, ale powitała mnie tylko cisza.

Po paru sekundach przeżyłem coś znacznie gorszego niż stres przed kontaktem z automatycznymi drzwiami. Zobaczyłem puste pomieszczenie. Otaczały mnie tylko zniszczone, ponure ściany. Światło było wyraźnie przytłumione, wewnątrz panował depresyjny półmrok. Gabinet Kreta wyglądał jak cela więzienna. Zrozumiałem, co spowodowało mój niepokój. Nikt mnie nie obudził, nikogo po drodze nie spotkałem - w schronie berlińskim nie było nikogo oprócz mnie! Od razu ta myśl przyszła mi do głowy. Stało się to, czego tak się bałem: znów zostałem sam. Teraz ten lęk przybrał prawdziwą postać gnijących, śmierdzących ścian, twarz mroku, szatkującego resztki moich zdrowych zmysłów. Schowałem głowę w dłoniach. Lubiłem tak robić jeszcze w dzieciństwie, chociaż nigdy nie przynosiło to żadnego skutku. Jako chłopiec wierzyłem, że w ten sposób uda mi się odmienić świat, że po chwili, gdy opuszczę ręce i znowu otworzę oczy, świat się do mnie uśmiechnie, zmieni się, jakby przepaszając, że dotąd był niedobry. To samo pomyślałem w tym ohydny pomieszczeniu, które było kiedyś gabinetem Kreta. Schowaną w rękach głowę trzymałem opuszczoną dobrych kilkanaście sekund, ale gdy znowu otworzyłem oczy, nic się nie zmieniło.

Wybiegłem na pusty korytarz. Otwierałem wszystkie napotkane drzwi i żadne nie stawiały oporu, ale zza wszystkich wyłaniał się ten sam okropny widok. Czy ktoś kiedyś powiedział, że pustka jest brudna? Można by zripostować, że skoro jest brud, to nie ma pustki, ale ja się z tym nie zgadzam. Gdyby chociaż potrafiła zachować estetyczną neutralność, dałoby się przeżyć.

Jakiś czas tak się krzątałem, aż wreszcie postanowiłem to zrobić. Co więcej mi zostało? Skoro wszyscy znikli podobnie jak poseł Sikora, nie pozostało mi już nic innego... Wreszcie mogłem poczuć, jak smakuje i pachnie umierający świat. Dotarłem czym prędzej do windy, która posłusznie wywiozła mnie na powierzchnię. Jeszcze tylko dwie komory przejściowe i już stanąłem na ziemi przykrytej zgłiszczami Berlina.

Wydało mi się, że znacznie pojaśniało, wcale nie czułem pyłu popromiennego, wżerającego się w odkryte ciało.

Uklęknąłem i wziąłem do ręki suchy piasek. Patrzyłem, jak wysypuje się z dłoni przez szczeliny między palcami. Powtórzyłem to kilka razy, wstałem i rozejrzałem się wokół. Znałem ten pejzaż, przecież byłem tutaj poprzedniego dnia. Zdziwiłem się, gdy poczułem na policzkach orzeźwiający muśnięcie wiatru. W pewnym momencie jego poryw stał się tak silny, że musiałem zmrużyć oczy. Wciągnąłem w płuca tyle

powietrza, ile tylko się mogło w nich zmieścić, licząc się z najgorszym - błyskawicznym pogorszeniem się stanu mojego samopoczucia. Nic takiego jednak nie następowało, nadal czułem się dobrze. Zacząłem więc biegać po ruinach, krzyżeć. Chyba nigdy od czasu katastrofy nie czułem się taki szczęśliwy. Byłem przekonany, że warto byłoby zapłacić za tę chwilę szczęścia nawet życiem. Ta chwila była cenniejsza od perspektywy spędzenia reszty moich marnych dni w berlińskim schronie.

- Halo! Z czego się pan tak cieszy?

Struchlałem. Natychmiast przystanąłem, rozejrzałem się wokół, ale początkowo nikogo nie zauważyłem. Bo niby kogo mógłbym zobaczyć w Berlinie? Kogo mógłbym usłyszeć w Berlinie? Po chwili byłem już skłonny pogodzić się z tym, że to moje zmysły żartują sobie ze mnie. Może to zapowiedź śmierci albo choroby popromiennej?

- Jestem tutaj! Chodź, musimy porozmawiać, Królu!

Stał za wstępniem przy wejściu do schronu. Nie zauważyłem go wcześniej, gdyż po wybiegnięciu na zewnątrz nie odwracałem się. Musiałbym zajrzeć za uskok w murze, o czym nigdy bym nie pomyślał, mając przed sobą otwartą przestrzeń miasta.

Podszedłem do niego, on zrobił parę kroków ku mnie i... spojrzeliśmy sobie w oczy. Czułem się pewnie i wiedziałem, że pierwszy nie opuszczę wzroku. Jego spojrzenie również było silne, ale chyba nie bawił go ten pojedynek. Odszedł na parę metrów i ciężko odsapnął. Cały Kret. Wyreżyserowane gesty, nieodgadniony wyraz twarzy.

- Skąd wiesz, że nie ma promieniowania?

- Nie wiem... Co powiedziałeś? - Po raz kolejny poczułem się zaskoczony. I jak się wkrótce okazało, nie po raz ostatni.

- Ach, tak, nie wiedziałeś. Zatem to była próba, hm... samobójstwa? Zapewniam cię, że nieudana. No, chyba cię to nie martwi? Promieniowanie naprawdę już się skończyło.

- To niemożliwe. Rozpad radioaktywnych atomów trwa wiele lat.

- A więc naprawdę chciałeś pożegnać się z życiem? Ty - Król?

- A c o miałem zrobić? Żyć w pustym schronie? Kpiliście sobie ze mnie cały czas...

- Och! Nie przesadzaj. W każdym razie teraz to już się skończyło.

- Co?

- Ty to nazywasz teatrem, cyrkiem, błazenadą, ja - walką, testem. I zapewniam cię, że to już się skończyło.

- Skąd wiesz, jak to nazywam? Nigdy ci o tym nie mówiłem.

- Tak samo, jak nigdy nie nazwałeś mnie Kretem, ale tak o mnie mówiłeś... w myślach.

- Jesteś telepatą? - Przeszył mnie dreszcz. - Kim ty jesteś?

- O, wreszcie sensowne pytanie. Jak by to powiedzieć, jesteś już chyba do tego przygotowany...

- Mów, cyrk się skończył.

- Wierzysz mi, że nie ma już promieniowania i przeżyjesz?

- Nie wiem.

- Myślę, że uwierzysz mi we wszystko, co powiem, choć zapewniam cię, że nie zależy mi na tym.

- A mnie powinno?

- Po prostu masz prawo wiedzieć. A co z tym zrobisz... - Powiedział to szczerze, a ja, chyba nauczony ostatnimi doświadczeniami, doszukiwałem się w jego słowach i gestach aktorskiej pozy. Niesłusznie.

- Kim jesteś?

- Obcym. To znaczy, tak nas nazywacie. - Powiedział to delikatnie, starając się, aby te słowa mnie nie ukąsiły. W jego oczach zabłysła szczerłość. Czekał na moją reakcję i na pewno był przygotowany na wszystko. Trwaliśmy w milczeniu dość długo. Czy mogło mnie jeszcze coś zaskoczyć? Cyrk ze szczurami, groteska podziemi, znikający poseł...

- Skąd się wzięliście?

- Czuwamy nad wami od tysięcy lat. Ostatnio nastąpiło przesilenie i musieliśmy interweniować.

- Przesilenie?

- Tak. Mieliśmy wątpliwości co do waszej przyszłości. Nie rysowała się ciekawie. Wy i szczury...

- Co mają do tego szczury? - Nie wytrzymałem. Byłem skłonny wysłuchać go w skupieniu, wykazać się dobrą wolą, ale jeżeli znowu zaczniesz bredzić o szczurach...

- To niedopuszczalne, aby dwie wrogie wobec siebie rasy panowały na planecie.

- Przecież to my panujemy!

- Tylko wam się tak wydaje. W rzeczywistości szczury stworzyły silną... jak wy to nazywacie... opozycję. Zagrozały wam, ale i wy zagrozałyście im... Ich rozwojowi. Konieczne stało się rozwiązanie tej kwestii.

- Mów jaśniej!

- Gdy wasza cywilizacja chwiała się w posadach, szczury przewyższyły was w dynamice wzrostu. Wiesz, że praktycznie cały rozwój w Europie to ostatnie sto - dwieście lat. Piżmaki wydostały się na wolność w Czechach w roku 1905 i wystarczyło im kilkadziesiąt lat, aby stać się niekwestionowaną szczurzą arystokracją. Szczury wędrowne przeprowadziły inwazję na Europę dopiero w XVII - XVIII wieku. A pod koniec XX należała już do nich!

- A nasz postęp?

- Wybacz, ale dokładnie to przeanalizowaliśmy. Einstein miał rację, lecz nie do końca. Jako człowiek schlebiał swojemu gatunkowi. Szczur mógłby stać się panem Ziemi, gdyby ważył nawet znacznie mniej niż człowiek. Jego rozrodczość, perfekcyjny system społeczny... Sam wiesz. A to już były argumenty przeciwko ludziom...

- I dlatego darzyliście szacunkiem mojego przeciwnika?

- Oczywiście. Chcieliśmy być obiektywni.

Zdębiałem po raz kolejny. Mój groteskowy pojedynek z tamtym bydlakiem miał być najważniejszą w historii człowieka wojną? Najważniejszym wydarzeniem? No, może nie licząc rewolucyjnego i opłakanego w skutkach zejścia z drzewa. Ono również musiało wyglądać groteskowo.

Obcy zmienił postać. Stał się... Wiktorem.

- Jak wyglądacie naprawdę?

- Tego nie możecie się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Na początku odpowiadało mi, że rozmawiam z sobowtórem Wiktora, po chwili zaczęło mnie to denerwować. Człowiek to nie tylko ciało fizyczne. Z ust prawdziwego Wiktora nie spłynąłby taki stek nonsensów.

- Podziemny Berlin to iluzja?

- Nie do końca. To po prostu holograficzny program stworzony dla ciebie i szcúra.

Trudno było mi uwierzyć, że ta cała maskarada była po to, aby nie dopuścić do wszelkich podejrzeń. Gabinet Kreta, moja dosyć luksusowa kabina, zadymiona knajpa...

- Poseł Sikora...

- Słucham?

- Wczoraj spotkałem na korytarzu posła, to znaczy hologram...

- Ach, to! - Uśmiechnął się. - Akurat on nie był hologramem... podobnie jak ja. Zaatakowałeś go, więc zwyczajnie przeniósł się w przestrzeni. Przysnaję, mogliśmy bardziej starannie wybrać postacie z banku danych, aby nie trafić na kogoś, kogo znasz. Dobrze, że ta przygoda nie przytrafiła się przed walką.

Nadal czułem na twarzy muskanie wiatru. Matka natura nie odwróciła się plecami od Ziemi. Co prawda tęskniłem za bardziej szaleńczymi porywami, ale na razie wystarczał mi ten ciepły, delikatny dotyk. Był jak pocałunek matki przed snem.

Zacząłem coraz lepiej przyswajać sobie rewelacje Obcego i starałem się uwierzyć, że mogę swobodnie oddychać. Już zacząłem na nowo czuć się szczęśliwy, gdy tknęła mnie oczywista myśl. Jakże mogłem nie zdawać sobie z tego sprawy wcześniej? Spojrzałem ponownie na przybysza, ale tym razem wzrokiem dzikim od nienawiści. Nawet miękki zefirek zamienił się w kłujące smaganie bicia. Doskoczyłem błyskawicznie do Kreta, powaliłem go na ziemię i zacząłem dusić.

- Wy gnoje! Wy mordercy! Co, też przeniesiesz się w przestrzeni jak tamten niby-Sikora? Kto wywołał wojnę nuklearną? To był wasz test, to wasza wojna!

- Przestań! - Z niemałym trudem wyrwał się z mojego ucisku.

- Mordercy!

- Co ty wiesz? Gdyby nie my, nie dalibyście sobie żadnej szansy. Idioto! Zagładę nuklearną w waszej wersji przeżyłyby tylko szczury! Wy przestalibyście istnieć!

- Jaka zagłada? Na Ziemi był pokój.

- Jesteś naiwny. Czytałeś Biblię? „Gdy zaczną mówić o pokoju... ”

- Ty się powołujesz na Biblię? Przesadziłeś!

- Nie. My znamy cały wasz kontekst cywilizacyjny i kulturowy. Wasze uniwersum to dla nas świętość.

- Ach, tak. Czyli wy nas uratowaliście? Przed nami? - Ze wszystkich sił starałem się powiedzieć to głosem pełnym jadu i ironii.

- Nie widzisz, że możesz oddychać? Nie ma już promieniowania. Wiemy, jak przyspieszyć rozpad promieniotwórczych atomów do paru minut. No, cóż, zginęły miliardy, ale przeżyły miliony i możecie wszystko zacząć od nowa.

Od nowa?

- Ograniczyliśmy was technologicznie.  
- A szczury?  
- Zostały zlikwidowane, przecież przegrały. Zostawimy tylko kilka par... gdzieś na bezludnej wyspie. Jeżeli przeżyją i dadzą sobie radę, to kiedyś... kto wie, może znowu będą miały szansę.

- Wy dranie!  
- Nie denerwuj się. Postępujemy zgodnie z normą galaktyczną.  
- Czegoś nie rozumiem... Skoro dbacie o czystość gatunkową, to dlaczego zostawiliście tych parę szczurów na Ziemi? Przecież ma panować jeden gatunek?

- Ale nie musi to być ciągle ten sam gatunek.  
Usiadłem na stosie gruzu. Myśli kłębiły się jak lawa wulkanu, która jednak szybko ostygła i zamiast eksplozji wywołała we mnie apatię. Nadal go nienawidziłem, ale zdawałem sobie sprawę, że nie potrafiłbym zrobić mu żadnej krzywdy. A tak bardzo chciałem. Wiedziałem, że zaraz sobie pójdzie, a ja ruszę przed siebie w poszukiwaniu jakichś ludzkich osad. Ruszę na wschód, może dotrę do Polski. Czy ocaleni ludzie uwierzą mi - głosicielowi dobrej nowiny o końcu promieniowania i nowym początku ludzkości? Może zostanę spalony na stosie, zjedzony albo, w najlepszym przypadku, skazany na wieczną banicję? To nic! Nawet kiedy będę sam, nikt nie zabierze mi nieba znad głowy, wody z ocalałych rzek, wiatru... i poznanej prawdy. A co ze szczurami? Przypomniałem sobie ostatnią „walkę” i musiałem zadać Obcemu jeszcze jedno pytanie, chociaż bałem się, że może okazać się niebezpieczne ze względu na jego zdolności telepatyczne.

- Moja walka... co o niej myślisz? Co sądzisz o moich przeżyciach z nią związanych?  
- Nic. Twoja walka odbyła się zgodnie z odpowiednimi protokołami. Kontrolowali ją strażnicy, i to wszystko.  
- Wszystko? A telepatia?  
- Nie! - Potrząsnął zdecydowanie głową. - Założyliśmy tobie i szczurowi blokady telepatyczne jeszcze przed walką. On nie żyje, a od ciebie nikt nigdy niczego nie wyciągnie.  
- To znaczy, że nie czytasz w moich myślach?  
- Teraz już nie. Podczas pierwszej nocy w naszym schronie założyliśmy blokadę. Taka jest procedura.  
- A gdybyście chcieli zmienić zdanie?  
- To jest nieodwracalne.  
- To znaczy, że nigdy nikomu nie będę mógł przesłać myśli telepatycznie? I nie będę w stanie nauczyć się ich odbierać?  
- Niestety, to prawda.

Staliśmy tak jeszcze chwilę i stało się dla nas jasne, że rozmowa zbliżyła się do końca. Obcy bez słowa pożegnania odszedł w kierunku schronu, zniknął za jedną z masywnych ścian, a po chwili zobaczyłem unoszący się w górę dziwny, bezkształtny pojazd. Pewnie pozostali czekali na niego na orbicie.

Nie dawała mi spokoju telepatia, ale... chyba wszystko zrozumiałem. Obcy jednak pomylili się. Znów przed oczami stanął mi szczur, zachęcający mnie... telepatycznie!... do zadania śmiertelnego pchnięcia. On wiedział o telepatii Obcych i blokadzie.

Potrafił ją obejść i bez podejrzeń wtargnąć w moją świadomość. Specjalnie się poddał. Nie chciał zwycięstwa, bo Obcy mogliby odkryć telepatyczne zdolności szczurów. Gryzonie wolały zginąć, a może... zdecydowały się poświęcić na później swój triumf nad człowiekiem? Może nie czuły się jeszcze gotowe do zapanowania nad Ziemią? Może tym razem zrezygnowały z szansy? Nie, coś mi mówi, że nie.

Raczej... bały się Obcych, ich ingerencji w nasz świat. Szczury pewnie same potrafiły nałożyć własną blokadę, skoro obcy się nie zorientowali. Co by się stało, gdyby jednak odkryli możliwości telepatyczne szczurów?

Może zniszczyliby nie tylko szczury, ale całą... planetę?

To niesamowite, ale z tego wszystkiego wynika, że... szczury uratowały Ziemię, ginąc wraz ze swoją tajemnicą telepatii.

A co będzie, jak gdzieś na bezludnej wyspie znów rozwiną swoje zdolności? Ludzie zejść do podziemi, do kanałów? A może wspólnie z telepatami - szczurami, pokonamy telepatów - Obcych?

Tak czy inaczej obcy pomylili się, a to o nich źle świadczy, czyli... daje nam jakąś szansę.

Wydaje im się, że zdobyli odpowiedź na podstawowe pytanie: człowiek czy szczur? Nie zauważyli, że prawdziwe pytanie jest inne: my czy oni?

Epilog



Od tamtych wydarzeń minęło osiem lat. Wróciłem do Polski, odnalazłem kilka osad, poznałem ludzi, którzy przeżyli. Stworzyli grupy podobne do pierwotnych plemion. Wodzowie darzyli niechęcią takich przybłędów jak ja, widząc w nich szpiegów wroga lub zagrożenie dla własnej pozycji. Raz otarłem się nawet o śmierć, zbyt nachalnie domagając się akceptacji. Wszędzie czułem się źle, nigdzie nie znalazłem miejsca na nowy dom.

W takiej sytuacji stało się jasne, że nie mogłem nikomu powiedzieć tego, co wiem.

Miotłem się tak dwa lata. Dokuczał mi głód, zżerała samotność i dopiero wtedy wpadłem na pomysł, który pozwolił mi uratować życie, nadać mu jakiś sens.

Bezludna wyspa - to moja pasja, misja, ostatni już cel. Sześć lat poświęciłem na dotarcie do tego miejsca. Co ciekawe, nie miałem kłopotów z lokalizacją siedziby szczurów. Coś pchało mnie w określonym kierunku, kłopotem były tylko środki transportu i żywność.

Czy kiedykolwiek mogłem przypuszczać, że dotrę na Karaiby? Siedzę właśnie na brzegu niewielkiej wysepki i wpatruję się w dal morskiej toni. Tam, tuż za pustym horyzontem, leży cel mojej wyprawy - wyspa szczurów. Wiem, że czekają już na mnie, w mojej świadomości kłębią się ich myśli. Muszę tylko naprawić drobne usterki i moja łajba będzie gotowa do ostatniego rejsu.

Ostatniego?

**Adam Mrozek**